

Pomocy!...

Ten świat dzisiejszy jakże odmienny od dawnego, jaki samolubny, niełtościwy dla słabych i małych, deprecy wszystkich i wszystko! — tak mniej więcej żala się dziś wszysej i nie trzeba bynajmniej świadectwa starych bardzo ludzi, ażeby przyznać, że idee chrześcijańskie, a nawet wielkiej sprawiedliwości nie dotrzymały kroku olbrzymiemu postępowi w dziedzinie nauk i odkryć, że więc da-

wniej wyglądało istotnie bardziej po Bożemu na tym biednym świecie... A jednak, pomimo tej przewagi ostrych kontrastów, pomimo utrwalonego niby już tryumfu znanej maksy my żelaznego kanclerza: „siła przed prawem”, dokonywają się codziennie niemal, i jakby w ukryciu, czyny ciche, skromne i na pozór tak małe, że zdawałoby się, iż o nich mówić nie warto, a przecież one to właściwie podtrzymują równowagę, skrzepiają ducha, i budzą cześć w największych nawet niedowiarkach i sybarytach.

O takim czynie, małym rozmiarami, a wielkim doniosłością moralną i społeczną, chcę powiedzieć słów kilka.

Oto jedna z tych niewieści postaci, jakby stworzonych do niesienia wszędzie i zawsze pociechy i pomocy, jedna z sióstr miłosierdzia, żyjąc ciągle wśród światła ubogich i znękanych, zespółiła się z nim gorącym współczuciem.

Wśród tej rzeszy bezdomnej i bezradnej zauważyła, że najniebezpieczniejszymi muszą być naturalnie: kalecy, obarczeni chorobą chroniczną i starzy a samotni, czyli że nie tylko niezdolni do żadnej pracy, ale nie mogący ochronić siebie samych od ostatniej niedoli.

Gdy szukają ratunku, szukają go w szpitalu, w którym albo ich przyjąć nie chcą, albo co prędzej się pozbywają, jako materiału niepodatnego do leczenia. Gdy szukają chwilowego choćby schronienia, rodziny ubogie przyjąć ich nie mogą, inne przyjąć nie chcą, nie mając żadnej rekojmi zapłaty za jakibądź kącik, choćby na strychu, albo w wilgocią kapiejącej suterenie.

Cóż się więc dzieje? Oto np. wdowa po rzemieślniku, zubożała nagle z jego śmiercią, szwaczka, która wzrok straciła, patrząc lata całe w białe ściegi, albo ciężko spracowana sługa, która resztkami sił wysługiwać się już nie może, blakają się w dzień po ulicach lub poczekalniach różnych zakładów dobroczynnych, w nocy szukając spoczynku w przytulku, a tę marną habendę, stanowiącą cały ich dobytek (do której przedewszystkiem pościel zaliczyć należy), rozkrada tymczasem kto chce... Lecz i inne jednostki, oprócz wyżej wymienionych, znalazłszy się w podobnym położeniu, demoralizują się z konieczności, szczęśliwe jeszcze, gdy na cbwilę przed śmiercią dostaną się do szpitala.

Wtedy to siostra Anna, ufna jedynie, jak się wyraziła w szlachetnej swej prostocie: „w Opatrzność Bożą”, wynajęła (w r. 1884-ym) małe mieszkanie przy ulicy Solec pod nr. 54-ym i tam pomieściła sześć staruszek, w najopłakaniejszym będących położeniu.

Mierzący ludzkie sprawy napoleońskim łokciem uśmiechną się z politowaniem: „sześć łóżek drewnianych, sześć kącików mniejszych od tych, jakie dogi miewają w zamożnych domach! Toż to zabawka i żarty!” Nie żarty, to rzecz bardzo poważna, to przykład tak uderzający, tak wdrażający się w umysły,

że wzbudza zapal i gorącą chęć przyczynienia się do dobrego. Znaleźli się wnet zaci ludzie, a przynajmniej ich garstka, ta sama, która zawsze znajduje się na stanowisku, gdy ratować trzeba, i stało się, że zamiast jednego abożuchnego przytulku wynajęto ich już trzy i zamiast sześciu tylko staruszek, znalazło dach i opiekę osób 67!

Niebawem Towarzystwo dobroczynności przyjęło ten przytułek pod swój zarząd, jako oddział „św. Franciszka Salezego” dla niezdolnych do pracy. Opiekunami i opiekunkami są: JE. ks. biskup Ruskiewicz, ks. Brzeziewicz, Kazimierzowa Sobańska i Aleksandra z Blochów Weysenhoffowa oraz K. Sobański.

Ponieważ niepodobna było wyszukać odpowiedniego co do wielkości mieszkania, przytułek mieści się w trzech lokalach, co niezmiernie powstrzymuje rozwój tej młodej a tak potrzebnej instytucji, powstrzymuje też kierunek administracyjny, tem trudniejszy, że nie opierający się na stałych dochodach, ale na dobrowolnych ofiarach i składkach.

Przyszedł z prawdziwie królewską pomocą dobroczyńca, który podarował na Solec plac (nr. 2913), mający 6000 łokci kwadratowych; inny czy inna znowu zajęła się rzeczą niesłychanie trudną, zuchwałą w pomysle i w wykonaniu, bo zbieraniem funduszków na budowę tego przytulku, skoro plac gotowy zdaje się oczekiwać dalszych fundatorów. Fundusz na budowę, to nie bilet na bal kostiumowy albo jednorazowa składka na zupełną rumfordzką, to suma poważna, którą trzeba mieć w pogotowiu albo na widoku, jeżeli budynek nie ma stanąć w połowie czyli nie ma zapaść się w ruinę, dlatego, że nie mógł być skończony!... Lecz tych kilka szlachetnych osób, powodowanych jedynie wielką miłością bliźniego, a które zajęły się tak gorąco, tak serdecznie zbieraniem ofiar, dokazało już bardzo wiele, kiedy na wiosnę, ufini w to, a co ważniejsza, w dalszą pomoc, zaczęły budowę, ale pragną się też odwołać do współczucia ludzi zacnych i rozumnych, pojmujących, że pomoc taka, pomoc dana na taki cel, to nie tylko obowiązek społeczny, ale obowiązek miły Bogu i ludziom. Więc proszą oni pp. przedsiębiorców o dostarczenie im jakiejś ilości cegły na budowę, albo darmo, albo za pół ceny — a dodać trzeba, że budowa przyszłego domu zajmie się najbezinteresowniej p. Władysław Marconi — proszą tych, którzy nieraz rozpraszają jałmużny bez celu i pożytku, o danie jej tym razem świadomie dla tych inwalidów pracy społecznej, proszą zarazem wszystkich ludzi dobrej woli, powiedzmy raczej ludzi z sercem — a jest ich więcej, aniżeli mizantropom się zdaje — o dopomożenie, ażeby ta instytucja, powstała z wielkiej miłości bliźniego, bo z inicjatywy siostry miłosierdzia, i będąca już na tak dobrej drodze, dzięki wytrwałej gorliwości kilku osób, uwieczniona została najpomyślniejszym skutkiem, tak, jak na to bezwzględnie zasługuje.

E. Lubowski.